Nr. 301. Kraków, Środa, 29 grudnia 1909. Rok II.

GAZETA POWSZECHNA

PRENUMERATA: w Krakowie 1 Kor. (kwartalnie 3 K., już z dostawą do domu i na prowincji miesięcznie 1 K. 50 h. (kwart. 4 K. 50 h.) W Niemczech kwartalnie 5 K. 50 h.; w innych krajach, należących do związku pocztowego, kwartalnie 7 K. 50 h.

Ogłoszenia: od miejsca za jednoszpaltowy wiersz petitowy 20 hal. za pierwszy raz, za każdy następny po 10 hal. — Drobne ogłoszenia po 4 hal. od słowa, najmniej jednak 10 słów. — Nadesłane po 60 hal. od wiersza. — Załączniki: w miejscu 1 kor. od setki, na prowincję 2 korony. —

Pojedynczy numer **4** halerze tak w Krakowie jak i na prowincji.

Do nabycia w całym kraju w trafikach i biurach dzienników.

Wychodzi **codziennie** o godzinie 6-tej wieczór.

Redakcja i Administracja: **ul. Florjańska l. 32, II p.** — Telefon Nr. **565.**

W NUMERZE:

Nagonka wszechpolaków na Bank parcelacyjny.

Powodzenia ludowców na polu ekonomicznego dźwigania ludu zawsze były solą w oku zacnego bractwa wszechpolskiego — ludowa asekuracja „Wisła" stale spotyka się z przeciwdziałaniem ich na wsi i oszczerstwami w gazetkach narodowo-demokratycznych, a Bank parcelacyjny, odkąd nie udało im się zagarnąć go dla siebie, jest przedmiotem ustawicznych napaści, które przybierają wprost zbrodnicze formy.

Nie inaczej też musimy nazwać ostatnie artykuły „Ojczyzny" i „Słowa Polskiego" z wybitnie jasnym już celem rzucające popłoch między lud wiejski, jakoby z Bankiem parcelacyjnym było krucho. Wszechpolacy chyba zdają sobie dokładnie sprawę z tego, co znaczy zaalarmować jakąbądź sferę — mniejsza o to słusznie, czy fałszywie — że ten a ten Bank w którym są ludzkie oszczędności, poczyna się chwiać. W tej chwili wybucha panika, ludzie gwałtownie wycofują naraz swe wkładki i to dopiero sprowadza na najlepiej nawet prosperującą instytucję katastrofę. Cóż mówić o wrażeniu, jakie wywoła taka grubo przesadzona wieść wśród włościan, z natury już podejrzliwych, których długie late trzeba było nakłaniać do lokowania swych oszczędności w kasach, a nie w skrzyniach w domu, lub pod strzechą!

Wiedzą o tem bardzo dobrze wszechpolacy, a mimo to z całą świadomością złego czynu rzucają w społeczeństwo tę żarzącą się iskrę, by wzniecić krótkotrwały pożar jednodniowy, byle tylko znienawidzonemu przeciwnikowi politycznemu dopiec. Wiedzą bardzo, że panika, jaka przy tem wybuchnąć może, nieobliczalna jest w skutkach swoich — ale też oni na tej panice obiecują sobie zarobić, wyróść raptem na jedynych ratowników, na obrońców ludu! Wszechpolacy wczorajszym tym swoim fajerwerkiem upodobnili się do owych rąk zbrodniczych, które rzuciły one dał ogień bengalski w jednym z lwowskich kinematografów, aby się w ścisku tej paniki obłowić kradzieżami kieszonkowemi!...

Atak wymierzony był z kierunkiem wybitnie politycznym, godził w Stapińskiego i w marszałka Badeniego — ale nie ubije żadnego z nich, mimo pobożnych życzeń wszechpolaków, którym już pilno jest do osadzenia księcia Lubomirskiego na stolcu marszałkowskim i do objęcia spadku po Stapińskim i ludowcach. Gdy na gruncie wiedeńskim okazała się kompletna nieudolność p. Głąbińskiego, a Koło polskie zajęło ostatecznie stanowisko, dyktowane mu od samego początku przez Stapińskiego — gdy olbrzymia większość społeczeństwa potępiła służalczość prezesa Koła wobec Niemców i rządu, a oświadczyła się za słowiańską polityką ludowców — trzeba było z innej strony zajść tych niebezpiecznych dla rozwoju wszechpolskiej hypnozy ludzi i bodaj na dzień, dwa poderwać ich znaczenie w opinji publicznej.

Do tego miała służyć ta właśnie nagonka obu wszechpolskich organów, która tylko u bardzo łatwowiernych mogła zasłużyć na jaką-taką wiarę. Bank parcelacyjny, choćby rzeczywiście miał w danej chwili brak pod ręką większych kapitałów obrotowych, ma jeszcze 8 tysięcy morgów ziemi, parcelującej się obecnie, wartości przeszło półszosta miljona i to jest zupełnie wystarczające zabezpieczenie dla tych niespełna dwu miljonów chłopskich oszczędności, o które tak bardzo raptem rozbolała głowa wszechpolaków.

A już obrzydliwą i bezczelną napaścią są wyssane z palca zarzuty „Słowa" o celach partyjnych ludowców, które Bank rzekomo miał zaspokajać. „Wie der Schelm ist, so denkt er" — mówi przysłowie niemieckie, co po polsku znakomicie wyra ża się: „Kto jada flaki, myśli, że każdy taki". Wszechpolacy nadużywający funduszów nietylko finansowych swoich instytucji na swoje roboty agitacyjne, ale oświatowych, na które się całe społeczeństwo składa, wietrzą wszędzie złodzieja..

Bank parcelacyjny przetrwa i ten atak i długo jeszcze będzie psuł krew swoim „najserdeczniejszym" pomyślnym rozwojem swych czynności.

Panika w kinematografie.

Dwa trupy — siedmioro rannych.

Lwów, 26 grudnia.

Stołeczne nasze miasto poruszone zostało w pierwszy dzień świąt pod wieczór wieścią o katastrofie w kinematografie, której ofiarą padły nawet dwa życia ludzkie. Wieść ta tem potworniejszych nabrała rozmiarów, że są to dni świąteczne, w których nie wychodzi żaden dziennik, mogący przynieść autentyczny opis katastrofy — pozostawiono więc wolne pole ludzkiej fantazji, która w najniemożliwsze szaty bajkowe ubiera cały fakt i puszcza go w świat... z muchy robiąc wołu.

Dla przykładu — parę obrazków, jak urasta plotka. W tramwaju w pół godziny po fakcie posłyszałem rozmowę o katastrofie w kinematografie — mówiono, że spłonęła cała buda, trupów moc.

By być prędzej na miejscu, wskoczyłem do innego wozu, gdzie znowu opowiadano, że w panice rozduszono jakąś kobietę brzemienną, która w tej chwili wydała na świat nieżywe dziecię. U wejścia do pasażu Mikolasza od strony ulicy Kopernika tłum ludzi, a w każdej grupce co innego rozpowiadają. Z trudnością przeciskam się przez wąską szyję przesmyku wchodowego i łowię po drodze słowa urywane o złodziejach, co spowodowali panikę, by się obłowić przy tej sposobności — o nieznanych trupach, co do których skonstatować można było tyle tylko, że jeden z nich był izraelitą — o studentach, co z psoty sprowadzili całe nieszczęście.

I tak się też, jak ostatnia wersja mówi, stało rzeczywiście.

Jest od dłuższego czasu w pasażu Mikolasza na pierwszem piętrze, gdzie dawniej była hala aukcyjna, kinematograf dający od 4 popołudniu do wieczora tanie przedstawienia. Program świąteczny obejmował także obrazki z Bożego Narodzenia, więc też sporo się zebrało publiczności zaraz na pierwsze przedstawienie w sobotę popołudniu. Wszystko szło bardzo dobrze, goście byli zadowoleni, aż nagle pod koniec programu, gdy światła wedle zwyczaju na sali były przyćmione, by obraz na ekranie tem widoczniej występował, za-

majaczył w pierwszych rzędach jakiś ognik i rozległ się trwożliwy okrzyk: „pali się!"

Wszystko, co żyło, runęło z miejsc, tłocząc się ku wyjściu.

Ci, co byli w ostatnich rzędach krzeseł, czemprędzej znaleźli się na wąskich kręconych schodach — reszta w szalonej panice cisnęła się ku jedynym drzwiom wiodącym na schody. Zamięszanie wzrastało tem większe, że nikt z zarządu kinemotografu nie zorjentował się, nie otworzył na sali światła i nie uspokoił publiczności, że nigdzie się nie pali, a ów zdradliwy płomyczek pochodzi od zapałki bengalskiej, podrzuconej w górę z psoty przez jakiegoś studenta.

Publiczność tymczasem pchała się gwałtownie w natłoku naprzód, jedni przez drugich. Tu komuś spadł kapelusz, schylił się po niego na ziemię i tak już został, bo fala ludzka go przewróciła i przepłynęła po nim jak morski bałwan zniszczenia.

Ludzie, gnani szalonym przestrachem o własne życie, stają się w takich wypadkach, jak dzikie zwierzęta, tłoczą się, biją, rozpychają, po cudzych trupach nawet, byle tylko ujść z życiem.

Tak było i tu. Przy wąskich drzwiach największy ścisk. Gwar, piski i jęk tłumi wrząca chęć ucieczki, tylko ucieczki. W samych drzwiach przygniata tłum jednego i drugiego młodzieńca, mdlejącego odpycha w bok, a sam uchodzi.

Na pierwszą wiadomość o rannych i trupach ktoś telefonuje z sąsiedniej kawiarni „Kryształowej" po stację ratunkową. Przybywa i zastaje dwa trupy, nieznanych bliżej ludzi. Obaj młodzi, 17-to i 18-to letni, nieznanego nazwiska — później dopiero dowiadują się, że jeden z nich był terminatorem stolarskim, drugi synem muzykanta z Kleparowa.

Pierwszego tłum stratował nogami, drugiemu zgnieciono śmiertelnie klatkę piersiową — obaj na miejscu wyzionęli ducha.

Stacja bierze się do ratowania rannych. Same wyrostki kilkunastoletnie, którym ludzie dorośli, cisnąc się u wyjścia, poskręcali ręce, potłukli nogi, podrapali twarz. Siedmiu ich się zgłosiło o pomoc lekarską — ilu nie szukało jej, odchodząc z mniejszemi ranami, niewiadomo.

Tymczasem cały pasaż zalany tymi, co szczęśliwie uszli. Ot, tu pod figurą bezwstydnej Wenery, z pod której wstydliwy magistrat zakazał wodzie tryskać, rozlokowała się jakaś jejmość i poraz nie wiedzieć już który opowiada ciekawym:

— Ho, ho! ja była mondra i odrazu hyc na schody! a i tak mi batiary skradli torbę z piniondzamy i galoszy.

— To rabuśniki urządzili naumyślnie — dorzuca ktoś z tłumu.

I zdanie to utrzymuje się dłuższy czas zarówno z oburzeniem na władze, że wydaje koncesje na kinematografy, nie zabezpieczone dostatecznie na wypadek ognia lub innej paniki.

W.

Śmiertelne postrzelenie chłopa.

Ropczyce, 23. grudnia.

Nie pierwszy to wypadek, że różne paniczyki z dworu lekceważą sobie życie chłopskie i przypominają tego okrutnego starostę Kaniowskiego, co to kazał babie wiejskiej leść na drzewo i kukać, a potem do niej strzelał. Tyle mu było warte życie baby, co wróbla jakiego! Niedawno w Niskiem oficjalista księcia Lubomirskiego zastrzelił chłopa, gdy go w czemś nie chciał posłuchać — potem znowu na polowaniu u hr. Potockiego postrzelono chłopa śmiertelnie, choć przypadkowo — teraz znowu podobny wypadek, spowodowany porywczością praktykanta lasowego z dóbr hr. Tarnowskiego.

Chłop z Cierpisza Józef Pieniążek był w lesie z dubeltówką. W tem w zaroślach coś się poruszyło. Strzelił. Z gęstwiny wypadł ranny rogacz. Pieniążek nawet nie składał się do strzału, by ubić rogacza, gdy w tem ktoś go za ramię chwycił i usłyszał za sobą głos:

— Oddaj strzelbę!

— Dlaczego? Przecież ją nie rabsic...

— Oddaj, bo strzelę w ciebie.

— A czy to wolno?

Za całą odpowiedź huknęły w tej chwili dwa strzały, jeden po drugim i chłop biedaczysko runął na ziemię, brocząc obficie krwią, która buchnęła zeń z taką siłą, że nasiąkł nią cały jego kożuch.

Strzały te dał do niego całkiem z bliska w plecy praktykant Kaliciński ze Żdżar, który w ten sposób sposobi się do służby leśnej u hrabiego i do obcowania z ludźmi.

Biednego Pieniążka na pół żywego przewieziono do szpitala w Rzeszowie — Kaliciński zaś, bojąc się, by żandarma po niego nie przysłano, sam zgłosił się w starostwie w Ropczycach i tyle. Dotychczas jest na wolności, bo u nas paniczom wolno nawet podczas śledztwa bujać po swobodzie, co innego, gdyby tak chłop przypadkiem tylko postrzelił jasnego pana, zaraz znalazłyby się dla niego łańcuszki!...

B.

Bursztyn, 22. grudnia.

Chrust leśny, nie przedstawiający dla właściciela lasu większej wartości, a bardzo ponętna rzecz jako opał dla biedaków, porwał znowu jedną ofiarę ludzką. Zwyczajnie chwytają pobereżnicy tych „złodziei gałęzi" i wloką do sądu, tu jednak sprawiedliwość zrobił sobie odrazu gajowy obszarnika Krzeczunowicza, Adamczuk, waląc pałką po łbie Ilka Korola z Czerniowa, przydybanego w lesie pańskim, gdy zbierał chrust. Korol padł trupem na miejscu, zabójcę zaś przyaresztowano i odstawiono do Brzeżan. Biedna ofiara bestjalstwa gajowego pozostawił żonę i drobne dzieci.

M.

Zamordowanie pułkownika Karpowa.

Dalsze szczegóły zamachu na naczelnika ochrany petersburskiej, pułkownika Karpowa, potwierdzają przypuszczenie, iż tajemniczy ów zamach jest dziełem partji rewolucyjnych, a jego sprawcą ów rzekomy Woskresienski jest to mieszczanin z Saratowa nazwiskiem Aleksander Pietrow, — lub jak inni twierdzą, Pietrowskij. Jest to człowiek młody, szczupły, o wyglądzie nadzwyczaj inteligentnym. Zarządzona przy nim przez policję natychmiast rewizja, wykryła dużą korespondencję, kilkanaście paszportów, wystawionych na różne nazwiska, tudzież rewolwer i zapasowy magazyn z nabojami.

Oprócz mieszkania na ul. Astrachańskiej, w którem nastąpił wybuch piekielnej machiny, wykryto bezzwłocznie drugie mieszkanie, zajmowane przez Woskresienskiego Pietrowa, w jednym z trzeciorzędnych hoteli przy ulicy Dworiańskiej. W hotelu tym zameldował się Pietrow jako szlachcic Anatol Gorjański. W mieszkaniu tem znaleziono kufer średniej wielkości, a na jego dnie kamizelkę watowaną z przewodnikami elektrycznymi. Kamizelki takie służą do noszenia przy sobie pocisków wybuchowych i machin piekielnych. Znaleziono tam także siedm paszportów (z tych dwa zagraniczne, wystawione na nazwisko Dybicza) i dokładne przewodniki i mapy miast finlandzkich.

Sprawca wybuchu Pietrow należał ongi do partji socjalistów-rewolucjonistów i brał udział w kilkunastu zamachach. Przy jednym zamachu został schwytany, poczem zesłano go na Sybir.

Wtedy to Pietrow miał zaofiarować policji swoje usługi. Ówczesny naczelnik ochrany petersburskiej, generał Gerasimow, przyjął Pietrowa, który też istotnie przez pewien czas oddawał ochranie pewne usługi. Po zdemaskowaniu Azefa, Pietrow, obawiając się zemsty ze strony rewolucjonistów, wstąpił napowrót do partji soc.-rewolucjonistów. Aby jednak udowodnić rewolucjonistom szczerość swoich pobudek, przyrzekł im, że zgładzi naczelnika ochrany petersburskiej Karpowa, co też rzeczywiście wykonał.

W sprawie tej zabiera głos w „Matinie" Burcew, twierdząc, iż Pietrow tylko pozornie służył ochranie, w rzeczywistości zaś śledził policję i działał na korzyść rewolucjonistów.

Wstępując do policji, postawił Pietrow za warunek, aby wszystkich aresztowanych z nim rewolucjonistów w Saratowie wypuszczono na wolność. Generał Gerasimow warunek ten przyjął. W roku 1909 Burcew spotkał Pietrowa w Paryżu — przekonał go, że droga, którą postępuje jest fałszywa i że prowadzenie akcji rewolucyjnej przy równoczesnem utrzymywaniu stosunków z policją, jest wykluczone. Pietrow przyznał mu słuszność i chcąc dać dowód stałości swych przekonań, przyrzekł wykonać zamach na szefa policji w Petersburgu.

Pogrzeb Karpowa odbył się w niedzielę przy demonstracyjnym udziale prezydenta ministrów Stołypina, który złożył na trumnie zabitego srebrny wieniec. Towarzysz Stołypina, szef żandarmerji generał Kurłow wygłosił nad grobem płomienną mowę.

Następcą Karpowa został szef ochrany moskiewskiej, pułkownik Koten.

Katastrofa kolejowa w Czechach.

Wczoraj donieśliśmy już o katastrofie kolejowej, jaka miała miejsce na stacji Uhersko w Czechach. W notatce nie można było uwzględnić tych wszystkich szczegółów i rozmiarów, jakie się później podczas akcji ratunkowej okazały. Dziś można już stwierdzić stanowczo prawdziwy stan rzeczy.

Winę za straszny wypadek ponosi naczelnik stacji w Uhersku Zeiss, który zapomniał o pociągu pospiesznym, jaki miał przepędzić przez stację i nie usunął na czas stojącego na tym samym torze pociągu towarowego. Zeiss zaraz po katastrofie uciekł, jednak po pewnym czasie powrócił i sam oddał się w ręce władz.

Zostanie on wydany sądowi i odpowie za zbrodnię przeciw bezpieczeństwu życia na podstawie §§ 335 i 337 ustawy karnej.

Do Uherska sprowadzono wielką ilość robotników, którzy energicznie pracują nad usunięciem z torów spiętrzonych wagonów. Dotychczas oczyszczono jeden tor tak, że ruch pociągów może się odbywać. W zbitej masie leżą na torze drugim obydwie lokomotywy wbite jedna w drugą. Dotychczas nie można ich było od siebie oderwać, mimo, iż użyto do tego lokomotyw. To też praca to będzie najżmudniejsza i najcięższa. Tymczasem zabrano się do toru trzeciego. Pod odłamami kół, osi, ścian wagonów i szkła znajduje się wiele zabawek tudzież wiktuałów wiezionych jako podarki świąteczne przez podróżnych. Wśród gruzu są kosztowności, tudzież pieniądze, które stanowią przynętę dla złodziei przybyłych z różnych stron celem rabowania rannych i trupów. Władze rozesłały zaraz żandarmów, aby przeprowadzili rewizje domowe i szukali zrabowanych przedmiotów. Z wagonu pocztowego zginęło kilka worków pieniężnych; czy je zrabowano, nie wiadomo; być może, że spłonęły podczas pożaru wagonu.

Dzienniki czeskie potępiają system oszczędnościowy uprawiany przez zarząd koleji, który jest właściwym sprawcą katastrofy. Z tego powodu ma być wniesiona w parlamencie interpelacja.

Przesłuchiwani urzędnicy i funkcjonarjusze kolejowi w Uhersku żalili się na wielkie braki tak w personalu jak i urządzeniu stacji.

Tow. koleji państwowych będzie musiało z powodu katastrofy wypłacić wielkie sumy tytułem odszkodowania dla rodzin rannych i zabitych.

Podawana początkowo liczba ofiar była nieco przesadzona; ogółem liczba zmarłych wynosi 16 osób, ciężko rannych znajdujących się w szpitalu jest 18; liczba lekko poranionych i kontuzjonowanych nie jest ustaloną, gdyż niektórzy udali się do domów i tam wzywali opieki lekarskiej.

Osoby, pozostające w szpitalu, muszą być poddane operacjom; jest jednak nadzieja utrzymania ich przy życiu.

Kilku pasażerów cudownym prawie sposobem wyszło z katastrofy bez szwanku. I tak: manipulantka pocztowa Marja Svoboda wyszła szczęśliwie z katastrofy w ten sposób, że silne wstrząśnienie rzuciło ją na siatkę przeznaczoną na pakunki, skąd ją nieziranioną wydobyto. Doznała jednak wstrząsu nerwowego. Właściciel realności w Pardubicach Teer, który jechał owym pociągiem z żoną, popadł w obłąkanie. Musiano go przewieść do szpitala.

Ofiary „Balladyny“

Znaną jest powszechnie zabobonność aktorów. O pewnem uzasadnieniu jej mówi szereg faktów z życia teatru lwowskiego, zebranych przez „Wiek Nowy“:

„Tuż za budką suflera, o kilka kroków od widowni teatralnej, rozciąga się świat fantastyczny, o zawiłej geografji i dziwacznej przyrodzie, zamieszkały przez wzniosłych bohaterów, upadłych aniołów, demonów zła, nieszczęsnych kochanków i śmiesznych arlekinów.

Na małej przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych, co każdego wieczoru, na hasło natchnionego poety, coraz to nowe światy, ludzie i coraz to nowe epoki wyłaniają się z głębi zawiłej rekwizytorni i pędzą swój krótki, a intenzywny żywot przez kilka godzin, czerpiąc bogate życie z podziemnej maszynerji i natchnienia aktora.

Tam wschodzą i zachodzą słońca, tam dyszy wiosna, gdy w okół nas zalegly zimne śniegi, szumią prastare lasy w tajemniczym blasku księżyca, lśnią przepychem mamiącym kraje egzotyczne, szaleją burze, tam wiek trwa godzinę, a ludzie żyją tam wielkiem, szaleńczem życiem...

Tam Hamlet, konając, ostatniem spojrzeniem wita widmo Fausta, tam wyżywa się Konrad, a Lady Makbet stwarza ponury świat zbrodni.

Ludzie, którzy ten świat zamieszkują nazywają się aktorami. Są zazwyczaj wszystkiem: królami, genjuszami, demonami zła, zwykłymi ludźmi i duchami. Żyją w różnych epokach, nawet w takich, których nie było.

Wśród tych płócien kulis przeżywają najpiękniejsze chwile życia, upadki i tryumfy — więc nic dziwnego, że pokochali ten fantastyczny świat za budką suflera. Łączy ich scena, a węzeł to silny, tak silny, że tworzą pewne odrębne społeczeństwo o specjalnej kulturze, zwyczajach, co więcej, świat ten posiada swe odrębne przesądy, łączące się ze sobą.

Taką np. postacią, budzącą lęk przesądny w murach teatru, jest „Balladyna“. Potworna kobieta, której ręce ociekają krwią własnej siostry, która gnana ambicją, znęca się nad własną matką po śmierci, dziś jeszcze jest tem widmem, wieszczącem śmierć.

Gdy woźny teatralny rozdając role, wieści „wznowienie „Balladyny“, każdego aktora przejmuje niemiłe uczucie.

Ktoś umrze...

Tak było już oddawna, ma to już swoją historję i nie wiadomo, czy jest to dziwny zbieg okoliczności, czy też naprawdę jest w tem jakiś głębszy związek, dosyć, że każdy weteran sceny polskiej mógłby wyliczyć cały szereg pogrzebów aktorów, które odbyły się w kilka dni po „wznowieniu“ „Balladyny“.

Niedawno miałem ciekawe zdarzenie, które znowu mi przypomniało przesąd o „Balladynie“ na lwowskiej scenie.

Przed ostatniem „wznowieniem“ tej sztuki znalazłem się przypadkiem w kawiarni. W zadymionej knajpie, przy jednym ze stolików, zastałem zagłębionego w gazetach pewnego znanego mi aktora. Ucieszyłem się nim radością samotnego „gościa“ o północy, a ponieważ uśmiechnął się do mnie, wyraźnie zapraszając, usiadłem obok. Obaj staraliśmy się rozmawiać, ale z tego, co mówił, poznałem, że jest przygnębiony i myśli o czem innem. Po chwili obaj zrobiwszy takie miny, jakbyśmy żegnali się na długi przeciąg czasu, zatopiliśmy się w czytaniu gazet. Kiedy wybrnąłem wreszcie z jakiegoś artykułu, mój towarzysz, zasnuty dymem, siedział w zamyśleniu.

— Jutro gramy „Balladynę“ — powiedział tonem zastanawiającym.

— Gra pan? — zapytałem.

— Niestety...

— Dlaczegoż, „niestety“?

— Pan nie wie o tem? Ona jest niebezpieczna...

— Nie rozumiem, co za „ona“?

— „Balladyna“.

— Ach prawda, ma podobno wieścić śmierć. Dziwny przesąd. Jak można w coś podobnego wierzyć!

— I ja nie wierzyłem, ale dziś... Wie pan — mówił dalej — miałem ciekawe zdarzenie. Był u nas stary maszynista Kowalik. Człowiek ten znał teatr i wiedział coś o „Balladynie“, zresztą dziecko wie o tej tajemnicy. Otóż kiedy dowiedział się o wznowieniu „Balladyny“, zawołał: „O! znowu wyciągają „Balladynę“, po to chyba, aby mnie pochować. ale ja się nie dam“! I co pan powie?... Na drugi dzień stary umarł.

— A! Pasternak, słyszał pan co?

?...

— Także tak. Wystawiono „Balladynę“, a na drugi dzień umarł.

— Tak słyszałem, ale nie łączyłem tych dwóch rzeczy ze sobą.

— Ależ panie, to jest wprost zadziwiające! N. p. śmierć rekwizytora Dradracha, także zaraz po wznowieniu „Balladyny“.

— Rzeczywiście, to ciekawe.

— Ciekawe, panie, bardzo ciekawe. Kiedy dyrektor po raz pierwszy wznowił „Balladynę“, pierwszy umarł jego ojciec. Później zachorowała Siemaszkowa tak ciężko, że musieli wprowadzać Wysocką na występy. Teraz pan rozumie, że tak w dzień przed wznowieniem, można mieć naprawdę tremę.

— Ale zawsze tak nie musi być?

— Będzie.

— Przesąd.

— Zobaczy pan!

Niebawem pożegnaliśmy się.

Nazajutrz byłem na przedstawieniu „Balladyny“, a w trzy dni potem na pogrzebie żony artysty Feldmana. W dwa dni później odbył się pogrzeb młodej i pięknej za życia chórzystki Biegańskiej.

Nasi we Francji.

Znany w kraju popularyzator wiedzy inż. Libański, bawiąc obecnie w Paryżu w celach aeronautycznych, nadsyła do „Kurjera Lwowskiego uwagi swoje o wychodźcach polskich, przebywających we Francji w charakterze robotników wolnych:

„Zastałem właśnie w „Bourse de Commerce“ kierownika ajencji Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, zajętego wysłaniem partji naszych Mazurów do robót na łanach francuskiej ziemi.

— Płaca dobra (500 franków rocznie), dalej mieszkanie dogodne, oraz wikt taki sam, jaki spożywa gospodarz (codziennie mięso, wino, ser) — informuje mnie p. Iwanowski. Ale pracować też trzeba porządnie wraz z gospodarzem. Bywa, że leniwi i słabsi uciekają, co powoduje następnie sporo kłopotów i przykrości dla instytucji.

Plagą stają się również brudne ajencje z pokątnymi ajentami w kraju, którzy wysyłają do Francji włóczęgów, a nieraz i łotrów. Właściciele folwarków adresują swe skargi i pretensje do towarzystwa, które czyni wszelkie wysiłki, aby oczyścić ten teren, eksploatowany przez chciwych spekulantów.

Zwracano się niejednokrotnie o interwencję do konsula, który sam starał się o usunięcie nadużyć ajentów.

Dzięki pracy dyrekcji Towarzystwa emigracyjnego w Krakowie, zwłaszcza redaktora Okołowicza, który nieustraszenie prowadzi walkę z hyenami emigracyjnemi, zdobywamy poszanowanie i uznanie dla instytucji, oto dowody!

Tu p. Iwanowski przedłożył mi cały szereg listów - właścicieli - pracodawców, zwracających się do paryskiej ajencji o pracowników. Dotychczas towarzystwo przez szalbiercze praktyki pokątnych ajentów poniosło już wiele ofiar, obecnie jednak mamy takie stosunki, że niebawem położymy kres wyzyskiwaniu robotników naszych i oszukiwaniu pracodawców.

Robotnicy, z którymi miałem sposobność rozmawiać, przyznali, że wprawdzie u Francuzów trzeba należycie harować, ale też płacą dobrze i dbają o człowieka. Obecnie poczynione są starania o społeczną opiekę nad wychodźcami; mają być dla nich i służba boża i bibjoteka polska i czytelnia.

Oby i społeczeństwo w kraju interesowało się żywiej tą falą emigracyjną do kulturnej Francji, a to tembardziej, że nasi serdeczni przyjaciele nad Sprea wszystkimi środkami starają się dyskredytować ruch ten i przeszkadzać mu.

Jakie bywają nieraz epizody, illustraje jeden z wielu wypadków:

Oto do partji wieśniaków, ugodzonych i wysłanych przez polskie Towarzystwo emigracyjne, przyczepia się ajent pruski, i dowiadując się, że jadę do Francji, powiada z udanem współczuciem:

— Biedni wy! teraz takie burze na morzu, kto wie, czy żywi dojedziecie.

— To do tej Francji przez morze się jedzie? — zapytuje kilku z przestrachem.

— A tak, bardzo wielkie morze, co roku giną okręty... toną setki takich jak wy, co jadą na robotę...

Ta zajmująca rozmowa o geografji skończyła się na tem, że ajent zabrał paczkę do Prus na fatalnych warunkach, tak, iż ci ludzie uciekali później w pojedynkę to do Francji, to napowrót do kraju.

Sprawy te ciężkiego żywota tłumu nędzarzy, rozgrywające się u dołu w szarzyźnie walki o byt, przemijają dziś jednak bez żywszego współdziałania ogółu. Sentymenty nie mają kursu i na giełdach zysków i strat materjalnych“.

Z życia krakowskiego.

Nasze poczty!

W niedzielę wieczór punktualnie o godzinie 8-ej wrzucił nasz korespondent lwowski list ekspresowy z szczegółowym opisem paniki w kinematografie, który dopiero w dzisiejszym numerze możemy drukować, gdyż list ten otrzymaliśmy dopiero w dwadzieścia godzin po nadaniu go we Lwowie! Wedle napisu na skrzynkach i stwierdzonego niejednokrotnie zwyczaju po 8-ej wieczór nadjeżdża jeszcze do tej skrzynki karjolka pocztowa dwa razy i zabiera listy o 9 i 10 wieczór. Ze Lwowa idą w tym czasie 3 pociągi, zwyczajne o 9 i 11 i pospieszny o 12·45 — a żadnym z tych pociągów nie odszedł należycie omarkowany list expres, oznaczony wedle przepisów czerwonym znakiem na krzyż całej koperty! Poco są właściwie poczty — gdy nic już nie pomaga?!

A teraz dla ilustracji próbka sprawności poczty innej, niestety niemieckiej. Jeden z członków redakcji warszawskiego „Dnia“ otrzymał widokówkę z Monachjum, która prócz nazwiska adresata zawierała tylko dopisek „Al. Jerozolimska Nr. domu i mieszkania!...“ Ani słowa o kraju i miejscu pobytu adresata! Sumienność poczty bawarskiej okazała się w tym ciekawym wypadku zadziwiającą, a domyślność wprost niesłychaną. Brak zupełny miejsca pobytu spowodował zaledwie dwudniowe opóźnienie. Inteligentnemu urzędnikowi pocztowemu wystarczyło samo polskie brzmienie ulicy i ofrankowanie zagraniczne, by list wysłać w stronę Polski, gdzie nazwa ul. Jerozolimskiej, już łatwiej do orjentacji wystarczy.

Z miasta.

Pomnik Słowackiego w Krakowie. Zarząd Główny „Straży Polskiej“ postanowił utworzyć osobny Komitet obywatelski, któryby ze współudziałem „Straży“ zajął się sprawą postawienia pomnika Juljuszowi Słowackiemu w Krakowie. Dotychczas wpłynęło na ten cel: 476 K 81 h, zebranych przez Koło Pań „Straży Polskiej“, 598 K, złożonych przez krakowski Komitet jubileuszowy i 100 K od przewodniczącego tegoż Komitetu prof. dra Fiericha.

Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się we czwartek 30 bm. Na porządku dziennym obrad Rady znajduje się między innemi dalszy ciąg dyskusji nad prośbą p. Styki o odstąpienie mu Rondla Bramy Florjańskiej na urządzenie panoramy grunwaldzkiej.

Lekarze u prezydenta miasta. Wczoraj przybył do prezydenta dra Lea Wydział Tow. lekarskiego celem złożenia mu powinszowań z okazji przeprowadzenia ustawy o wielkim Krakowie. Przy tej sposobności przedłożył Wydział prezydentowi petycję w sprawie zmiany sejmowej ordynacji wyborczej w tym kierunku, aby sprawy dotyczące stanu lekarskiego znalazły należyte uwzględnienie.

Z teatru miejskiego. W komedji Nowaczyńskiego „Wielki Fryderyk“ tytułową rolę króla Fryderyka II gra dyr. Solski. Inne ważniejsze role wykonają pp. Wysocka, Janiczówna, Jarszewska, Sosnowski, Sobiesław (biskup Krasicki), Siemaszko (jenerał Zieten), Mielnicki, J. Węgrzyn, Szymborski, M. Węgrzyn, Stanisławski (von Lucchesini), Leszczyński, Kosiński, Jednowski i Stępowski. Pierwsze przedstawienie „Fryderyka“ w piątek 31 bm. Początek przedstawienia o godzinie 7 wieczorem.

Teatr ludowy. Dziś „Dzwony z Corneville“, opera komiczna, grana od dłuższego czasu z wielkiem powodzeniem. W roli Germany wystąpi p. Czernekówna, w roli margrabiego p. Wierzejski. „Pas de ruban“ odtańczą Wanda i Stanisław Sachsowie. We środę daną będzie dla dzieci „Szopka krakowska“ M. Świerzyńskiego. Rozpoczęły się próby z zapowiedzianej w swoim czasie nowości pt. „Pan Mecenas“, nader aktualnej sztuki, osnutej na tle świata prawniczego. W sztuce tej, o podkładzie wybitnie satyrycznym, porusza jeden z autorów krakowskich, kryjący się pod pseudonimem „Older“, jedną z najżywotniejszych obecnie kwestji, obchodzących prawnicze sfery krakowskie.

Zamiast powinszowań noworocznych złożyli dotychczas na rzecz Uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza: prof. dr J. Grzybowski 5 K, dr E. Wróblewska, dr Z. Radliński, H. Radlińska, A. Róg, inż. Rapapert, A. Rapaportowa, dr F. Eisenberg po 2 K, dr M. Balsigerowa, dr Z. D. Golińska, dr Z. Szymanowski, Wł. Weychert-Szymanowska, M. Fromowicz po 1 K. Dalsze ofiary przyjmują instytucje Uniwersytetu ludowego i redakcje czasopism.

Wystawa fantów loterji T. S. L. otwartą została wczoraj w sali domu Tow. technicznego przy ulicy Straszewskiego. Na wystawie tej znajdują się dzieła sztuki najwybitniejszych malarzy polskich, kolekcje dzieł literatury, przedmioty artystyczne przemysłu krajowego. Ciągnienie loterji T. S. L. odbędzie się 30 bm.

Niezwykły wybryk natury czyli fiołki w grudniu. Przechodząc tymi dniami placem Biskupim, zrobiłem nader ważne odkrycie, zwłaszcza dla przyrodników. Oto wzdłuż obdartego muru przy tymże placu, a należącego do niewiadomego mi właściciela, gdzie umieszczony jest stary obraz Matki Boskiej, znajduje się mnóstwo posadzonych ręką nieznaną i będących w pełnym rozkwicie fijołków, raczących miłą sercu wonią zdążających tymże chodnikiem obywateli.

Lwią jednak częścią tego zapachu obdarzona jest młodzież, uczęszczająca do znajdującej się tamże szkoły im. św. Wojciecha. Jak słychać, grono osób postanowiło urządzić składkę na odnowienie wspomnianego obdartego muru, lecz, bojąc się wejść w kolizję z właścicielem tegoż, pragnącym pozostawić murowi temu charakter brudno-starożytny, i Zarządem czyszczenia miasta, pielęgnującym troskliwie to kwiecie, zaniechało tej myśli. Ponieważ urodzaj tychże fjołków w obecnym sezonie zabaw nader dopisał, można podobno kwiaty te po znacznie zniżonej nabywać cenie. Bliższych wiadomości udzieli Zarząd czyszczenia miasta.

O szpiegostwo na rzecz Rosji toczyła się wczoraj przed trybunałem karnym rozprawa przeciw Janowi Sońce, rodem z Olbierzanowic w Królestwie Polskiem, zatrudnionemu w charakterze pomocnika handlowego w Krakowie i Wieliczce. Rozprawa była tajna, przewodniczył radca Jasiewicz, oskarżał prokurator dr Marowski, bronił adwokat dr Heski. Wyszło na jaw, że szpiegostwo wojskowe na rzecz Rosji jest w Galicji na szeroką skalę rozwinięte. Sońta został skazany na 6 miesięcy zwykłego więzienia i na wydalenie z granic państwa.

Wojownicze stadło małżeńskie. Jan Słotwiński, stróż kamienicy, oznaczonej pierwszym numerem, przy ulicy Agnieszki, jest od pewnego czasu bardzo wojowniczo usposobiony wobec swojej małżonki Agaty. Wojowniczość owa doszła wczoraj do punktu kulminacyjnego. Między małżonkami przyszło do gwałtownej bójki, w której pani Agata została tak okrutnie pokiereszowana, że musiała szukać opatrunku na Pogotowiu ratunkowem. Czułym małżonkiem zajęła się policja.

Zgwałcona przez cywila i żołnierza. Wczoraj po południu przyprowadził żandarm na Pogotowie ratunkowe 16-letnią dziewczynę Marję Ciesielską, rodem ze wsi Prusy pod Kocmyrzowem, którą napadli w drodze obok Dąbia dwaj mężczyźni: żołnież z 13 pułku i cywil i dopuścili się na niej zbrodni zgwałcenia. Nieszczęśliwą dziewczynę pobili nadto ci zbrodniarze w nielitościwy sposób i poranili, poczem umknęli w niewiadomym kierunku. Za sprawcami ohydnej zbrodni wdrożyła żandarmerja energiczne poszukiwania.

Repertuar teatrów krakowskich:

	im. Słowackiego	ludowy
Wtorek	Lady Frederick	Dzwony z Corneville
Sroda	Balladyna	Szopka krakowska
Czwartek	(Teatr zamknięty.)	Nitouche
Piątek	Wielki Fryderyk	Wieczór sylwestr.
Sobo. po poł.	Betleem polskie	Szopka krakowska
Sobo. wieczór	Wielki Fryderyk	Kościuszko pod Racł.
Niedz. po poł.		Kościuszko p. Racł.
Niedz. wieczór		Dzwony z Corneville
Poniedz.		Szopka krakowska i Nowy Rok
Wtorek		Ciotka Karola (now.)
Środa		Kościuszko pod Racł.
Czw. po poł.		Berek Joselowicz
Czw. wieczór		Ciotka Karola

Wykłady Uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza

(sala Muzeum techniczno-przemysłowego, ulica Franciszkańska 7. — Godz. 7 wieczór. — Wstęp 10 hal.).

Wtorek 28-go Szpotański: Emigracja.
Środa 29-go Szpotański: Emigracja.
Czwartek 30-go Szpotański: Emigracja.
Piątek 31-go Pazdanowski: Liter. pol. XVIII w.

PODGORZE.

Posiedzenie Rady miejskiej w sprawie budżetu odbędzie się dziś we wtorek o godz. $^{1}/_{2}6$ wieczór.

Towarzystwo gimn. „Sokół“ energicznie zabiera się do pracy, ażeby na Zlocie grunwaldzkim wziąć udział jak najliczniejszy w ćwiczeniach — Na ręce prezesa dra Emilewicza ma każdy złożyć deklarację, że stanie umundurowany do ćwiczeń i weźmie udział w pochodzie. — Ćwiczenia zlotowe zaczynają się po Nowym Roku.

Dwaj przyjaciele. Stefan Mitka, 19-letni młodzieniec, zaglądający niejednokrotnie do kieliszka, złulał się w święta dokumentnie. Ażeby swoją czułość, pochodzącą z nadmiernego użycia alkoholu, wyładować na kogoś, uchwycił nóż stołowy w ręce i pchnął nim w głowę swego przyjaciela Wojciecha Lecha, tak, że ostrze 9 cm. długie utkwiło w ciele nad okiem. Zawezwane Towarzystwo ratunkowe po obandażowaniu odwiozło rannego do szpitala, z którego wesoły Lech w niedługim czasie umknął i począł szukać po szynkach swego przyjaciela, a nie znalazłszy go, udał się na policję, gdzie gościł Mitka w cymbrze aresztanckiej. Dowiedziawszy się o tem Wojciech Lech, żądał wypuszczenia swego kolegi na wolność, policja jednak nie mogła mu zadośćuczynić.

Przebicie. Marceli Kozioł, 24-letni, znany awanturnik, przebił Wojciecha Górę nożem. Towarzystwo ratunkowe zabrało rannego do szpitala, a policja zatrzymała Kozła „pod telegrafem“.

Kronika prowincjonalna.

Obchód ku czci Słowackiego na wsi. Stuletnią rocznicę zgonu Juljusza Słowackiego uczciła wieś Sokolniki (koło Lwowa) uroczystym obchodem. Ludność miejscowa zgromadziła się bardzo licznie, dając wymowny dowód, iż umie czcić pamięć wielkich w narodzie mężów. Pierwszy mówił w podniosłych słowach gospodarz Tomasz Piwko,, naczelnik gminy, poczem p. Ernest Knobloch ze Lwowa wygłosił gruntownie opracowany odczyt o znaczeniu Słowackiego dla ludu. Po odśpiewaniu szeregu pieśni narodowych przemówił jeszcze w podniosłych słowach akademik p. Juszkiewicz, apelując do uczestników, by postępowali w życiu w myśl wskazań nieśmiertelnego Wieszcza i nabywali „oświaty kaganiec“. Odśpiewaniem pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ zakończono tę uroczystość, która w pamięci uczestników zapisze się trwałem wspomnieniem.

Sekretarze gminni się organizują. Za przykładem innych powiatów poszli sekretarze gminni z powiatu jasielskiego, uznając, że tylko silna jednolita organizacja może wywalczyć spełnienie ich ze wszech miar słusznych postulatów. Z początkiem grudnia odbył się w Jaśle kurs dla pisarzy gminnych, a po jego ukończeniu zgromadzili się wszyscy sekretarze, celem utworzenia powiatowej organizacji. Przewodniczył obradom p. Ludwik Regus, sekretarzował p. Jan Kopacz. Obrady były bardzo ożywione, przemawiało kilku mówców,

wszyscy wyrażali zgodnie zapatrywanie, że polepsze nie ich doli zależy od silnej organizacji, z którą wszyscy liczyć się muszą. Zakończeniem obrad był wybór tymczasowego Zarządu powiatowego, w skład którego weszli pp.: Ludwik Rogus jako przewodniczący, Michał Skwarko jako zastępca, Jan Śmietana (skarbnik) i Jan Kopacz (sekretarz).

Fanatyk. Mieszkańcy miasta Wojnicza pałają niechęcią do młodziutkiego księdza-fanatyka Deca. — I słusznie — jeśli się weźmie pod uwagę fakta, które poniżej przytaczamy. Otóż niedawno wyświęcony ksiądz ten do tego stopnia przejął się ideją wyzwalania Wojniczan z jarzma zwyczajów, przyjętych z Niemiec, że dzieciom szkolnym zakazał skupywać choinki, które są jedyną dla nich przyjemnością na świętach. Katecheta z zaparciem się godzinami stał na Rynku i nie pozwalał nawet starszym osobom — ze względu na zły przykład z góry — targować drzewek u wieśniaków, którzy zwożą rokrocznie nieznaczną ilość choinek. Wskutek tego ścięte drzewka idą na marne, a wieśniacy będą wiedzieć na przyszłość, o ile konsystorz księdza nie usunie, że w kraju nie ma odbytu, więc trzeba będzie towar wysyłać do Prus. Wskutek tego tracą i kupcy miejscowi, którzy zakupili mnóstwo świecidełek i bakalji wyrobów krajowych na przystrojenie drzewek. To jeden fakt, który maleństwom wyciska łzy z ocząt. A teraz drugi: Do Wojnicza zjechał cyrk. Na przedstawienie, które miało się odbyć w sali „Sokoła", nie pozwolił ks. Dec iść dzieciom i zagroził, że wyrzuci ze szkoły tego, ktoby się odważył tam pospieszyć. O tem zakazie nie wiedział miejscowy lekarz, który swoich synków zabrał na przedstawienie. Na drugi dzień zobaczył ojciec w domu zapłakane maleństwa, które wszechwładny katecheta wyrzucił ze szkoły. — Dziwimy się, dlaczego Rada szkolna lub konsystorz nie usunie księdza, który — jeźli chcielibyśmy motywować inne względy — musi mieć chyba pomieszanie na tle religijnym.

Listy z prowincji.

KOŁOMYJA.

Kronika policyjna. Tutejszej policji udało się po długiem szukaniu przytrzymać znanego włamywacza Andrzeja Iwanowicza; ujęto go w chwili dobierania się do cudzej komory.

Również przytrzymaną została przez policję Parańka Penteluk za kradzieży kożuchów.

Tensam los spotkał nieznanego nazwiska głuchoniemego, który nie mając pieniędzy, chciał koniecznie mieć kożuch. Udał się on do składu, a zdjąwszy z poręczy jeden, dał drapaka. Niedługo jednak cieszył się zdobyczą, bo wpadł w ręce stójkowemu, który odprowadził go do aresztu.

Pożar. Przy ulicy Mendelsohna wybuchł pożar w pracowni tokarskiej, który przeniósł się na pracownię blacharską, a stąd na pobliski skład i suszarnię grzybów. Przybyła straż pożarna zdołała ocalić tylko budynki sąsiednie. Zaś pracownie i skład grzybów spłonęły doszczętnie. Szkoda wynosi około 14.000 K.

Napad. Lis Semen z Kut, który przed kilku dniami zgorzał doszczętnie, chodził po okolicznych wsiach, celem zebrania od ofiarnych ludzi jakich dobrowolnych datków. Wieczorem przechodząc przez Wyrbiąż, został napadnięty przez sześciu drabów, którzy obrabowawszy ofiarę z gotówki, obili go przytem tak straszliwie, że na drugi dzień wyzionął ducha.

Uwiadomiona żandarmerja w Wyrbiążu wyśledziła sprawców ohydnego mordu i oddała w ręce sprawiedliwości. *M. O.*

Z innych zaborów.

Odczyty o Słowackim zakazane. P. Wincenty Lutosławski, były profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, pragnął wygłosić w Wilnie szereg odczytów z początkiem stycznia o twórczości i znaczeniu Słowackiego. Aby ten zamiar w czyn zamienić, zwrócił się Lutosławski za pośrednictwem jednej ze znanych księgarni wileńskich do jenerał-gubernatora miejscowego z prośbą o pozwolenie wygłoszenia wspomnianych odczytów — w języku polskim. Wbrew atoli oczekiwaniom, jenerał-gubernator pozwolenia żądanego odmówił, gdyż odczyty te mogłyby podkopać obecny ustrój rosyjski i jeszcze bardziej zrewolucjonizować Polaków wileńskich.

O biskupa wileńskiego. Stolica biskupia w Wilnie, opróżniona od dłuższego czasu, ma być w najbliższym czasie obsadzoną. Najwięcej widoków na otrzymanie nominacji na biskupa w Wilnie, ma ks. prałat Józef Michałkiewicz, który dotychczas pełni obowiązki administratora całej dyjecezji wileńskiej. Krążą jednak wieści, że ks. Michałkiewicz wymawia się od tego zaszczytu, a nawet przesłał na ręce Papieża prośbę w tym kierunku, uzasadniając to, iż brak mu odpowiednich kwalifikacji na biskupa. O innym kandydacie na biskupa na razie nic nie słychać.

Samobójstwa młodzieży akademickiej były przed paru miesiącami w Krakowie na porządku dziennym. Okazuje się, że epidemja ta panuje także w Kijowie. Szczególnie w ostatnich miesiącach przybrała ona tak duże rozmiary, że w pewnych sferach poczęto się zastanawiać nad sposobami, zmierzającymi do zorganizowania stosownej akcji ratunkowej. Wynikiem tych narad jest projekt założenia Towarzystwa o celach humanitarnych, którego zadaniem będzie udzielanie pożyczek i rozdawanie zapomóg między uboższych akademików. Przyczyną bowiem tej epidemji samobójstw wśród młodzieży akademickiej jest w przeważnej większości brak środków do życia i nędza ostatnia. Tow. to rozpocząć ma z nowym rokiem swoją działalność.

Sprawa bezdańska. Znany naszym Czytelnikom wyrok sądu wileńskiego w sprawie słynnego napadu na pociąg pocztowy w Bezdanach, skazujący na śmierć Świrskiego i Zakrzewskiego, poddanego austrjackiego, był przedmiotem rozpoznawania przez główny sąd wojenny w Petersburgu. Według doniesień dzienników warszawskich główny sąd wojenny skasował wyrok co do Zakrzewskiego, Swirskiego i Kozakiewiczówny, skazanej na 7 lat ciężkich robót i nakazał przeprowadzić ponowne śledztwo w tej sprawie.

TREŚĆ:

— Więc pani także i nazwiska zna?

— Nie, panie komisarzu, żadnego nazwiska nigdy nie słyszałam. Tu w Warszawie ludzie są ostrożni, bo dobrze wiedzą, że czasem nazwisko może pozbawić głowy swego posiadacza.

— A może naprzykład hrabiego L.?

— Boże miłosierny. Pan wie...

— Tylko to jedno nazwisko, która jakiejś kobiecie, co zdaje się jest duszą zebrania, w wielkim zapale z ust się wyrwało. To jednak całkiem wystarczy do rozwiązania całej sprawy.

— O nieostrożna! Pan nie powinieneś był słyszeć tego nazwiska, pan je musisz zapomnieć, słyszy pan, panie komisarzu. Pan musi.

— A gdy nie będę mógł?

— Pan będzie mógł. Pomyśl pan tylko, że pan jesteś w moich rękach, że ja mam wierną służbę, która się niczego nie przelęknie, że Warszawa wielka. A nie... nie... nie myśl pan o niczem, tylko, żeby nie zawieść mego zaufania. Tej wielkiej przysługi, którą oddałam panu i miastu, nie zechcesz mi pan odpłacić złamaniem mego życia.

— Ale, niech się pani uspokoi — wszystko zrobię, co tylko będzie w mojej mocy — ale...

— Nie, nie, bez „ale". W tym wypadku nie może być żadnego „ale". Pan sam to zobaczysz.

Szybkim ruchem ręki zerwała welon z twarzy. Zobaczyłem przed sobą marmurowo-bladą twarz znanej piękności warszawskiej, hrabiny L.

Przerażony cofnąłem się.

— Pojmuje pan teraz panie komisarzu, że pan musisz

Katastrofy w samą wilję.

Zgon skutkiem wyskoczenia z tramwaju. — Zaginione premje świąteczne i samobójstwo. — Wielka katastrofa kolejowa pod Hamburgiem.

Tegoroczna wilja zaznaczyła się szeregiem katastrof. Rano w tym dniu jechał tramwajem wiedeńskim pewien 40-stoletni mężczyzna do jednej z fabryk za interesem. Zagadawszy się z jakimś znajomym, nie zauważył, że wóz minął już miejsce, gdzie miał wysiadać. Chciał z tramwaju, będącego w pełnym biegu, wyskoczyć, ale spostrzegł ten jego zamiar konduktor i przestrzegł go, że niebawem będzie przystanek i tam wysiądzie. Po tej przestrodze wszedł konduktor do wnętrza wozu, a spóźniony ów pasażer pozostał na tylnej platformie. Widocznie wrócił mu pierwotny plan na myśl, bo nie czekając długo, wyskoczył z tramwaju na jakich 20 kroków przed przystankiem. Padł na bruk i potłukł się bardzo. Zabrano go do szpitala, a stamtąd na natarczywe żądanie odwieziono dorożką do mieszkania, w drodze jednak stracił przytomność i w parę godzin wyzionął ducha.

*

Istnieje w Wiedniu pewne towarzystwo oszczędnościowe, które członkom swoim daje w przeddzień wilji premje pieniężne (dywidendy) na ozdobę bożych drzewek.

Tego roku miało to również nastąpić we czwartek. Przewodniczący stowarzyszenia, pozłotnik Kobinger, przygotowując pieniądze na ten cel, spostrzegł, że z kasy zginęło w niewyjaśniony sposób 1900 koron. Wszelkie poszukiwania okazały się bezskutecznemi, a Kobinger znikąd nie mógł wydobyć pieniędzy na pokrycie straty — tak więc ją sobie wziął do serca, że w samą wigilję z rozpaczy zażył modne od czasu Hofrichtera cyankali i w kilka minut zmarł.

*

Pospieszny pociąg z nocnymi wagonami do spania wpadł skutkiem złego nastawienia zwrotnicy na pociąg ciężarowy i w zderzeniu tem zdruzgotany został wóz pocztowy i idący tuż za nim wagon pierwszej klasy, w którym spało 15 podróżnych. Urzędnicy ambulansu pocztowego odnieśli ciężkie obrażenia — na miejscu zaś padło trupem kilkanascie osób, między niemi zaś pewien lekarz wojskowy, jadący z młodą swą, przed 4 zaledwie miesiącami poślubioną żoną do rodziców jej na wilję. Biedna kobieta pozostała przy życiu, ale bliską jest szału z rozpaczy. Drugi lekarz, jadący tym pociągiem, zawdzięcza życie temu, że duże poduszki siedzeniowe utworzyły nad nim rodzaj dachu, pod którym przeleżał nieuszkodzony 4 godziny, zanim go wydobyto. Rannych jest bardzo wielu.

Najświeższe telegramy.

Nowi członkowie Izby Panów.

Wiedeń. Cesarz zamianował 6 dziedzicznych i 24 dożywotnich członków Izby Panów, między tymi ostatnimi są trzej Polacy: znakomity historyk dr Tadeusz Wojciechowski, były profesor uniwersytetu lwowskiego, dr Witold Korytowski, były minister skarbu i hr. Adam Gołuchowski.

Z Sejmu węgierskiego.

Budapeszt. Sejm węgierski na wniosek Wekerlego odroczył się aż do zakończenia przesilenia.

Stan zdrowia Tołstoja.

Petersburg. Telegram z Moskwy donosi o nagłem ciężkiem zasłabnięciu Tołstoja. Temperatura u niego wynosi przeszło 40°.

Ustąpienie wielkiego wezyra.

Konstantynopol. Policja młodoturecka uchwaliła wezwać wielkiego wezyra Hilmibaszę do ustąpienia.

Wylewy.

Madryt. Heraldo donosi, że w prowincji Novara jedna wioska koło Viana wskutek ogromnych wylewów leży w gruzach. Przytem zginęło 28 osób.

Zawieje śnieżne.

Nowy Jork. wskutek zawiei śnieżnych zginęło w mieście 18 osób. Donoszą też o wielu nieszczęśliwych wypadkach na okrętach.

zapomnieć nazwisko hrabiego L.? Nie zechcesz pan przecież żądać tak strasznej rzeczy, żeby żona była zdrajczynią swojego męża.

Zapyta pan teraz z jakiego powodu pana tutaj zawezwałam. Aby mu więc odkryć tę tajemnicę, powiem, co mnie spowodowało; po pierwsze — miłość do męża, którego ubóstwiam, po drugie zemsta do uwodzicielki, która mi go chce wydrzeć, zmusiła mnie do tego. Pan sam słyszałeś, że się jedna pani znajduje w tem zebraniu, ona jest głową tego spisku, nasłana przez związek anarchistów, do którego chce wciągnąć i mojego męża — a że jest czarująco piękną i wymowną, więc potrafiła już wielu mężczyzn usidlić swoim wdziękiem i wciągnąć do spisku, a między nimi i mojego męża.

Spiskowcy wiedzieli kogo wysłać do Warszawy. Jest to bowiem pierwsza baletnica petersburska, znana popularnie „Djaną“.

— Djana?

— Tak jest, Djana. Zdradziłam panu nazwisko za cenę zapomnienia nazwiska mego męża. A za to, że ja panu zwierzyłam się z całą szczerością, proszę mi przyrzec, że nie będę tego żałować.

— Nie hrabino — z pewnością nie znajdziesz we mnie niewdzięcznika.

— Dziękuję panu, panie komisarzu, jestem tego pewna. Ale już teraz nadszedł czas, aby zakończyć tę ciekawą sytuację, w jakiej się tutaj znajdujemy. Po wysłuchaniu jednak tej tajemnicy zrozumie pan i nie będzie się gniewał, że ja dzisiejszemu dniu karnawałowemu nadałam taki poważny kierunek. Do widzenia się z panem.

Podała mi swoją delikatną małą rączkę, na której złożyłem pocałunek. W pół godziny odwiozła mnie znowu dorożka do kawiarni krakowskiej — tam zastałem jeszcze wiele masek w wesołym nastroju.

Całe to zdarzenie wydawało mi się jakby jakim fantastycznym snem.

* * *

Nie był to jednak sen. Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze cała Warszawa w śnie głębokim spoczywała, zbudziłem piękną baletnicę Djanę, złożywszy jej wizytę w towarzystwie dwóch ajentów policyjnych. W jej biurku do pisania znalazłem wiele ciekawych korespondencji. Zawierały one plan spisku na dostojnego dygnitarza rządowego. Nazwisk jednak żadnych nie mogliśmy odczytać, gdyż były pisane początkowemi literami, — sama zaś Djana nie chciała ich zdradzić. Zapobiegliśmy jedynie zamachowi, który miał być wykonany w ostatni wtorek karnawałowy. Piękną Djanę osadzono w więzieniu, skąd zdołano jej ułatwić w krótkim czasie ucieczkę, całe więc nasze śledztwo przeprowadziliśmy w samą porę, zapobiegając krwawemu zamachowi.

KONIEC.

Nieprzyjaciele dzieci.

Była conajmniej dziesiąta wieczorem. Państwo Lourdier już drzemali, gdy z poza ściany doleciał ich płacz dziecka. Z początku jakby kaszelek, potem niby dławienie się, a wreszcie krzyk na całe gardło.

P. Lourdier mruknął:

— Znowu ten Guguś!

Guguś (spieszczenie od Gustawa) synalek sąsiadów był utrapieniem państwa Lourdier.

Nieznośny bęben zatruwał im życie już od roku. Tak im było dawniej miło i wygodnie w tem mieszkaniu! Dom zupełnie nowy, czyściutki, nie zadaleko od biura, cena umiarkowana; słowem wymarzone gniazdo dla starego, bezdzietnego małżeństwa. I oto nagle, drzwi w drzwi wprowadza się małżeństwo młode, młodziutkie.

Z początku nie było z nimi biedy. Hałasowali wieczorem, trochę więcej w nocy.

— Jak to bywa w miesiącach miodowych! Państwo Lourdier uśmiechali się pobłażliwie, a nawet przyjaźnie, choć już dawno zapomnieli jak to bywało...

Tłuści, spasieni, mieli już w życiu tylko dwie uciechy: smacznie zjeść i dobrze się wyspać. Pani Lourdier przyprawiała wyborne sosy. Ten zapach witał pana Lourdier po powrocie z biura i dawał mu przedsmak rozkoszy. Słowem, życie płynęło cicho, gładko... I gdyby nie ci warjaci z poza ściany!... Zachciało im się dziecka.

Z chwilą jego narodzin, skończył się dla państwa Lourdier spokój.

Naprzód przez bitych trzydzieści godzin — jęki i wrzaski. Trzydzieści godzin! Omal, że się nie rozchorowała... pani Lourdier. Chciała już wzywać doktora.

Niesłychane! Całe życie odpędzać widmo potomstwa, po to tylko, aby na starość być dręczonym przez dziecko... cudze.

Z dnia na dzień było gorzej. To beczenie grubym głosem, te świdrujące piski.

Że też takie malutkie stworzenie może cały dom napełnić wrzaskiem! Że mu starczy oddechu! Zrozpaczony, spragniony snu p. Lourdier, walił pięściami w ścianę (sypialnie stykały się) i krzyczał:

— A niechże go pani nakarmi!

Gorzej było jeszcze potem, gdy noworodek zaczął się uśmiechać, gaworzyć.

Od rana do nocy słyszało się tylko:

— Guguś, pokaż ząbki, Guguś, uśmiechnij się! Guguś, zrób: pa!

Po sto razy na wieczór:

— Guguś, pokaż ząbki! Guguś, zrób: pa!

Można było się wściec — po drugiej stronie ściany.

Pan Lourdier chwytał się za głowę i wołał z rozpaczą:

— Nie, ten malec ma zrośnięte usta! On nigdy nie pokaże ząbków.

Łatwo się domyśleć, jakie były stosunki sąsiedzkie. Nie kłaniano się na schodach. Płatano sobie różne złośliwe figle. Przelewano żalc na łono stróżki. Lżyły się służące nawzajem. Krótko mówiąc — stan wojenny.

* * *

Nigdy jeszcze dziecko nie krzyczało tak, jak owego wieczoru. Dziwna rzecz: nie słychać skrzypienia kołyski i kojącego głosu matki. Nic, tylko ten wrzask, ten potok piskliwych, jękliwych, krzykliwych dźwięków, jak gdyby kto dusił malca, albo go piekł na wolnym ogniu.

Małżonkowie Lourdier wygrażali pięściami, chwytali się za głowy. Lecz gdy wrzask nie ustawał, zaczęli się dziwić.

— Co mu jest? — mruknęła żona.

— Wyjdź na schody, posłuchaj — rzekł wreszcie mąż.

Z początku stawiała opór. Ale gdy krzyk wzmagał się coraz bardziej, wstała z łóżka i poniosła się do sieni.

— Chodź no tu — przywołała męża. — Wyobraź sobie. Ci warjaci zostawili drzwi otwarte.

Wyskoczył z łóżka w jednej koszuli.

Biegł z lampą.

Ostrożnie, ze strachem, weszli do mieszkania sąsiadów. Krokami ich kierował wrzask Gugusia.

Dzieciak leżał sam, samiuteńki, w pokoju sypialnym. Łóżka rodziców nie były posłane na noc.

Wyszli zapewne do teatru, zostawiając synka pod opieką — służącej. A ten latawiec — ten „koczkodan“, ta „małpa“ wybiegła, zostawiając drzwi uchylone, bo pewno przez ostrożność nie dali jej klucza od zatrzasku.

Guguś posiniał już od krzyku i trzepotał się w kołysce jak ptak, schwytany w sidła.

Co począć?

Małżonkowie spojrzeli na siebie, w zakłopotaniu bezradnem.

— Nie podobna zostawić go w takim stanie — odrzekła pani Loudier.

— A wiesz jak go uspokoić? — spytał mąż.

— Nie wiem — przyznała się ze wstydem — ale są przecież sposoby. Będziemy próbowali.

Wzięła dziecko na ręce. Podniosła je w górę i podrzuciła niezgrabnie. Mąż patrzał na to ze strachem:

A nuż go upuści na ziemię!

Dziecko krzyczało w niebogłosy.

Pan Lourdier spróbował innego sposobu. Chodził za żoną i klaskał w ręce, stroił różne miny, podskakiwał.

Tak, podskakiwał, mimo dużego brzucha i artretyzmu.

(Dok. nast.)

Redaktor naczelny i odpowiedzialny:
Władysław Wąsowicz.
Wydawca:
Za Spółkę wydawniczą „Gazety Powszechnej“:
Dr Franciszek Bardel.

Czcionkami drukarni Literackiej pod zarządem L. K. Górskiego w Krakowie.